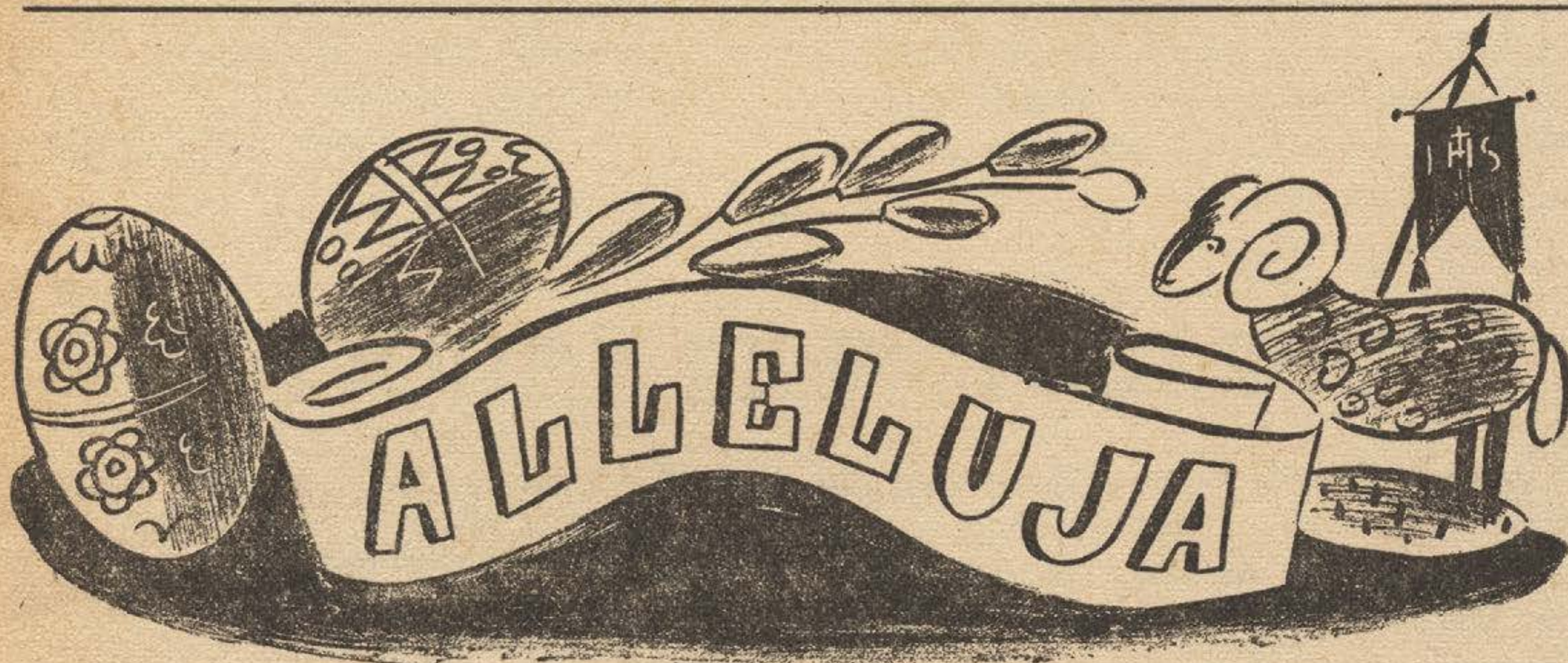


# NASZA GAZETKA

DODATEK DLA DZIECI I MŁODZIEŻY



Uroczystości Zmartwychwstania Pańskiego obchodziliśmy już piąty rok zdala od Ojczyzny i od swoich najdroższych.

Jedni święcili Wielkanoc wolni i zbrojni na polu chwały na froncie włoskim — inni w garnizonach szkockich, czy na stacjach lotniczych, lub też na okrętach i łodziach podwodnych Rzplitej.

Niektórzy znów w ciężkiej pracy i walce, a mniej szczęśliwi w tundrach, w obozach jeńców, w miejscach odosobnienia — w obozach koncentracyjnych, wielu w ciężkiej przymusowej pracy i niejedni też zniewolony we wrażliwych szeregach do służby.

Ale wszyscy w dzień Zmartwychwstania Pańskiego wybiegaliśmy myślą ku Ojczyźnie dalekiej, która stała się dziś ziemią mogił i krzyży. Ale Krzyż Męki Pańskiej nabiera coraz potężniejszej siły i bardziej przemijającej

wymowy dla nas Polaków. Przez Wielkanocny Cud Zmartwychwstania Chrystusowego wypełniły się słowa przepowiedni Proroka: Onego dnia korzeń Jessego, który jest na znak narodów, do Niego narody modlić się będą i będzie Grób Jego sławny. Chrystus Swym Zmartwychwstaniem rozweselił świat i stanął przed światem, jako Zwycięzca śmierci oraz Odnawiciel utraconej przez ludzkość łaski uświęcającej i praw do nieba. Wówczas jednocześnie zajaśniała sprawiedliwość i wielkie miłosierdzie Boże. Na świat spłynęła radość niebieska i otworzyła się znowu droga do szczęśliwości. Wielkie obietnice zostały dotrzymane, a przepowiednie proroków zostały czynem sprawdzone. Zmartwychwstanie okrywa Jezusa niezrównaną chwałą i jasno pokazuje, „że jest On prawdziwym Synem Bożym. Zmartwychwstanie Jezusowe utwier-

dza naszą wiarę i podnosi niezachwianie nadzieję naszego zmartwychwstania, bo „Chrystus Zmartwychwstan jest, nam na przykład dany jest“.

Nie życzyliśmy sobie i tego roku „Wesołego Alleluja“, bo nie stać nas na wesele, gdy Naród nasz w męce i niewoli, gdy nadchodzą wieści stamtąd, jak w Widzeniu księdza Piotra w „Dziadach“.

Ale jak uczniom Swym, idącym do Emaus i nam jawi się dziś Jezus Zmartwychwstały, by przypomnieć, że cierpienia są potrzebne dla naszej przyszłej chwały. Oby więc Chrystus był stałym towarzyszem naszej tułaczki. Trwajmy przy Nim w każdej sytuacji, a do-

czekamy się dnia sprawiedliwości, radosnego dnia, w którym nad skołatany światem rozdzwonią się rezurekcyjne dzwony, roznosząc u-  
pragnioną wieść o pokoju, szczęściu dla naszego Narodu i naszej Ojczyzny, bo jak wiemy z pieśni Wielkanocnej „Wesoły nam dziś dzień nastal“ — Chrystus.

Piekielne moce zwojował  
Nieprzyjaciela podeptał  
Nad nędznymi się zlitował  
Alleluja, Alleluja!

Potem z Swą wielką światłością  
Do Matki Swej przystąpiwszy,  
Pocieszył Ją pozdrowiwszy  
Alleluja, Alleluja!

## OBRZĘDY WIELKANOCNE

W drugi dzień świąt wielkanocnych rozpoczyna się chodzenie dziatwy szkolnej, wiejskich chłopców i dziewcząt „po święconem“, „po wykupie“, lub „po dyngusie“. Idą oni do dworu, od chaty do chaty wędrują z piosenkami aby sobie sami wyjednać odpowiedni poczęstunek.

Dziewczęta śpiewają:

Pan gospodarz w środku stoła,  
Suknia na nim w złote koła,  
Pani gospodyni brzęka kluczykami,  
Stąpa koreczkami,  
dla nas darów szuka,  
Szukaj Pani, maszli szukać,  
Bo nam tutaj długo czekać.  
Bo my wózkiem nie jedziemy,  
Co nam dacie to weźmiemy,  
Chłopcy dajcie nam na szpilki,  
Bośmy długo w drodze były,  
W drodze szpilki pogubiły,  
Alleluja.

Żegota Pauli przytacza starą, dawniej dobrze znaną piosenkę wielkanocną żaków szkolnych.

Z pod kamienia grobowego Chrystus  
zmartwychwstaje

I dobywa nożyka na święcone jaje.  
Krajcie i pijcie — pociecha jedyna,  
I dajcie mi skosztować — ja — mała  
dziecina!

Ja mała dziecina,  
Nie wiem, co łacina,  
Nie wiele wiem,  
Nie wiele powiem.  
Powiem wam nowinę,  
Że będziemy dziś jedli jajko i słoninę,  
I jajka farbowane,  
I ser przekładany,  
I święcone prosie,  
I chrzan gorzkawy, co kręci w nosie.  
Często chłopcy, chodzący po święconem,  
przebierają się za cyganów, dziadów i baby.  
Czasem też w piosence ich mieści się żartobliwa groźba kradzieży lub odmowy:

Opatrzcie, opatrzcie biednego pacholka,  
Żeby wam nie zginęło co z kołka.  
Wyjdźcie na werek,  
Zdejmijcie nam serek,  
Wyjdźcie na faskę,  
Zdejmijcie kielbasę.  
Dajcie nam parę jajek,  
Nie narobimy na was bajek,  
Dajcie miareczkę prosa,  
Będzie wam córeczka rośla.  
Dajcie nam sera,

Przyprowadzim wam kawalera.  
Za granicą, nad ulicy wojnę my toczyły,  
Siedemdziesiąt siedem Niemców my  
ubiły!

Często też przy obchodzeniu domostw  
wodzi dziatwa wiejska t. zw. kogutka, który  
zrobiony jest z piór kapłonich, ustrojony oz-  
dobami z papieru, a toczy się na dwóch kół-  
kach. Przy tem wodzeniu śpiewają:

A my z kurkiem rano wstali,  
Pierwszą rosę otrząsali.  
Nasz kureczek rano pieje:  
— Wstańcie panny do kądziele,  
A wy, matki, jeszcze śpijcie,  
Bo się przez dzień narobicie.  
Panie gospodarzu, dla zbawienia.  
Dajcie szperki do smażenia.  
Pani gospodyni, dla zbawienia,  
Dajcie jaj kopę dla smażenia.

Z obyczajem wypraszenia datków wiel-  
kanocnych łączyl się od lat najdawniejszych  
w Polsce i obyczaj oblewania wodą w drugi  
dzień świąt, dyngusem, śmigurstem lub śmi-  
gusem zwany. Już w wiekach średnich pow-  
stawał przeciw obyczajom tym Kościół, widząc  
w nich źródło wyzysku lub swawoli. „Dyngo-  
wanie“ więc, czyli ciągnięcie do wody, bywało

wielokrotnie przez duchowieństwo potępiane.  
Pomimo to przetrwał dyngus aż do naszych  
czasów, z upływem wieków tylko przybiera-  
jąc łagodniejsze, bardziej cywilizowane formy.  
Oto, co o nim pisze Kitowicz:

„Była to swawola powszechna, w całym  
kraju, tak między pospółstwem, jako też mię-  
dzy dystygowanymi. W poniedziałek wiel-  
kanocny mężczyźni oblewali wodą kobiety, a  
we wtorek i inne następujące dni kobiety  
mężczyzn, uzurpując sobie tego prawa aż do  
Zielonych Świątek, ale nie praktykując dłużej,  
jak po kilku dni“.

Oblewali się rozmaitym sposobem  
i amanci dystygowani, chcąc te ceremonje  
odprawić na amantkach swoich bez ich przy-  
krości, oblewali je lekko, różaną lub inną  
pachnącą wodą po ręce, małą jaką sikaw-  
ką lub flaszeczką... Którzy zaś przekładali  
swawole nad dyskrecję, nie mając do niej  
żadnej racji, oblewali damy wodą prostą,  
chlustając garnkami, szklenicami, dużemi si-  
kawkami prosto w twarz...

*Maria Dynowska.*





# Jak to gazela chodziła do kina

## I

Stała się wielka nowina  
gazela poszła do kina.  
Bardzo ciekawe. Wszystko opowiem  
lecz tajemnicy strzeżcie wojskowej.

W dywizji pomruk, wszystkie zwierzęta  
a jest ich sporo — rzecz niepojęta  
mówią — „i tego mamy za wiele,  
żeby do kina taszczyć gazelę,  
Na co się taki zwierzak ośmiela!  
patrzcie! — do kina! i kto!  
Gazela! ! !“.

Siedziały wkoło psów dwa tuziny,  
kotek w obróżce, królik z rodziną  
a króliczyna pękała z dumy,  
głaszcząc spojrzeniem swych dziątek tłumy  
jaszczurka, kogut i baran trzeci,

i tylko wróbel nie chciał przylecieć,  
(ten wróbel, co go nie brać na plewy,  
bo słyszał nieraz, jak kula śpiewa,  
jak w Tobruku bomba za bombą wali,  
jak granat pęka, jak port się pali,  
a lubiał jeździć na Szewrolecie,  
— lecz się osobno o nim dowiecie).  
Więc tak zwierzęta wygadują śmieie  
wprost ujadają na gazelę.  
Każde się boczy i krzywi,  
że to niesprawiedliwie,  
teraz wojny czas, nie kina, nie wesela,  
ale czy o to dba taka gazela?

## II

Pomrok powoli padł na pustynię,  
tłum żoźnierzyków zasiada w kinie.  
Patrzy gazela: gwiazdy migocą  
jasno, jak zwykle pustynną nocą.



Ktoś nad głowami snopem promieni uderzył w ekran: z światła i cieni wysnuwa powieść, prawdę, czy bajkę: nieznane kraje, bujne ogrody, spienione rzeki, pałac z mozaiki, morderca królowa, królewicz młody i straszny smok.

Wije się promień na filmie taśmie, ogromne błyszczą oczy królowy, boi się smoka — a potwór właśnie sięga pazurem, zdobyczy pewny, lecz mu królewicz przebija bok.

### III

Koniec. — Po piaskach i sypkich zboczach Wraca gromada z swą bajką w oczach; Idą powoli. Księżyc wyskoczył już na pół nieba.

Gazela także wraca jak trzeba tuż koło pana, a tam wypada droga, gdzie zwierząt czeka gromada. Idzie — gdy spojrzy trwożnie oczyma to już za serce każdego trzyma, i żaden z kroków jej cienkiej nóżki, żaden zwrot główki, gdzie tkwią dwa różki, dwa jasne sęczki w irysu płatkach — nie ujdą oczu zwierząt gromadki (co, jak wiadomo, widzą po nocy),

## Z ŻYCIA NURKÓW

Do najniebezpieczniejszych zawodów należy zawód nurka. Dobrze on jest za swą pracę wynagradzany i praca to b. ciekawa, ale często wędrówki po dnie morskim kończą się dla nurka kalectwem lub śmiercią. Niewiele zapewne wiecie o nurkach, choćby z tego powodu, że w Polsce zawód ten był prawie nieznanym.

Nadchodzi kiedyś chwila, kiedy nurek wyrusza w świat podmorski. Nakłada się na niego obszerny kaftan i spodnie zrobione z nieprzemakalnej kauczukowej materii. Na głowę zakłada się hełm z okularami, a na plecy dziwny aparat. Przez aparat ten uchodzi zużyte powietrze. Powietrze zaś potrzebne do oddychania, otrzymuje nurek za pomocą długiego węzła kauczukowego. Ciężkie ołowiane podeszwy i osobne ciężary ułatwiają nurkowi opadanie na dno morza. Z towarzyszami na okręcie porozumiewają się nurkowie za pomo-

każdy jej ukłon ma tyle mocy, że, gdy pozdrawia wszystkich życzliwie, każdy się z miejsca zrywa skwapliwie, każdy, jak umie: jaszczurka, kogut, kobyś, baran, nawet kotek bałamut z całym swym wdziękiem pięknie dygają, a ona idzie taka nieśmiała, tak chce dobroci i chce ją dawać, że to odczuwa najtępszy zwierzak i ciepła tkliwość serce mu bierze,

Przeszła. — kto mówi ?

Kto ? — króliczyna:

„Jeśli słuszności jest odrobina, to właśnie chyba ona — gazela, powinna sobie chodzić do kina. Bo kto ma chodzić ? kto ? czy ja może ? co już w tej chwili — mój dobry Boże — czterdzieste drugie z mych mądrych dzieci uczę jak stawiać łapki po świecie, i nie dbam — gwiazda, czy księżyc świeci, a bajki — dawno to dla mnie plewa.

### IV

Od tej pory mała gazela już bez przeszkody co niedziela idzie pod gwiazdy patrzeć na czary, a w każdym zwierzu ma przyjaciela. Z. Sz.

cą liny sygnałowej, lampy elektrycznej i telefonu. Wydychane powietrze przez nurka tworzy na powierzchni morza bańki. Te bańki wskazują dokładnie miejsce, w którym nurek znajduje się. W razie niebezpieczeństwa pomoc jest natychmiastowa. A niebezpieczeństwo czyha na nurka z każdej strony. Dno morza to świat bajki, ale bajki groźnej. Nurek stąpa w wiecznym mroku. Przez szkła hełmu widzi wszystko. Tajemnicze gaje i wodorosty, dziwne i straszne ryby, potopione okręty i ludzkie szkielety. Czasem na dnie między odważnym nurkiem, a krwiożerczym rekinem zawrze śmiertelna walka. Nurek wprawdzie zwyciężył, ale wyciągają go tak osłabionego, że długi czas nie może słowa wydobyć z zaciśniętych ust. Wreszcie szepcze: „Już więcej nie pójdę“.

Po pewnym czasie znowu przygotowuje się do podmorskiej podróży. Bo nurek kocha swój zawód.

Nurkowie to dzielni i ofiarni ludzie. —

## CZŁOWIEK, KTÓRY NIE MARNOWAŁ CZASU

W marcu tego roku upłynęło 57 lat od chwili zgonu wielkiego pisarza polskiego — Józefa Ignacego Kraszewskiego. Kilkadziesiąt lat temu było to nazwisko niesłychanie znane, a praca tego człowieka powszednie ceniona w społeczeństwie polskim. Dziś już bardzo zapomniani, — więc bodaj w rocznicę wróćmy myślą do niego, by nie stała się krzywda wielkim zdolnościom i olbrzymiej zasłudze.

Przede wszystkim nie trzeba mieszać Kraszewskiego z księciem poetów stanisławowskich, biskupem Krasickim, ani też z trzecim z wielkiej trójcy romantycznej, z poetą-filozofem, Zygmuntem Krasińskim.

Żył on później od tamtych — urodził się w 1812 roku w Warszawie, i gdy tylko doszedł do możliwości pracy samodzielnej (a stało się to wcześniej), cały wysiłek swego długiego życia oddał ogółowi rodaków.

Wrogowie, a i nie-wrogowie Polaków, zarzucają im brak wytrwałości, systematyczności i energii w pracy.

Otóż całe życie Kraszewskiego było dowodem czegoś zupełnie innego, było pasmem nieprzerwanej, pilnej, wytrwałej pracy i to bez względu na to, czy zasypywano go pochwałami i otaczały go zachwyty, czy przeciwności i nieszczęścia piętrzyły się tak, że kto inny nie tylko zaniechałby w ogóle wszelkiej pracy, ale popadłby w zniechęcenie i stał się ciężarem dla otoczenia.

Pomyślmy tylko o tej tak znanej rzeczy, że Kraszewski, który po roku 1863, jak wielu innych Polaków, musiał osiedlić się zagranicą, został tam, gdy dobiegał siedemdziesiątki swego życia, wtrącony do więzienia i osadzony w Magdeburgu.

I tu, w osławionym więzieniu magdeburkim, ten stary, schorowany człowiek ani na chwilę nie przestał pracować: pisał powieści (jedenaście!), tłumaczył komedie z łaciny — w ogóle nie odmienił ciągłości swego

pracowitego życia. Trwało to tak aż do śmierci, która zaskoczyła go już na „wolności“ (wypuszczonego za kaucją), w Genewie, 19 marca 1887 roku.

Kraszewski zawsze chciał być tylko sługą swego społeczeństwa, nie ubiegał się o zaszczyty, ambicję miał jedną: pokazać drogę, po której, nie wątpił w swęj skromności i optymizmie, pójdą inni, doskonalsi od niego, na coraz większy pożytek Ojczyzny.

Tak się też stało — zastęp następców Kraszewskiego stworzył jeden z najchlubniejszych okresów w naszej literaturze.

O samej powieści polskiej można powiedzieć bez przesady, że powstała i rozwinęła się w tym jednym mózgu — Kraszewskiego. 600 tomów najróżnorodniejszych powieści, jako dzieło jednego człowieka — to nie bagatelka!

A inne dzieła: historyczne, filozoficzne, naukowe? A dramaty i poematy? A wreszcie żywa i najszlachetniejsza działalność publicystyczna?

I wszystkiemu temu podołał jeden człowiek. Jak wiadomo, gdy ktoś chce pracować, to zawsze dokłada się mu jeszcze i jeszcze obowiązków, więc i z Kraszewskim było to samo — a nigdy nie uchylił się od żadnego z tych, nieraz uciążliwych i niewdzięcznych zadań.

Prawda, dziś wiele z jego powieści należy do „przestarzałych“, ale wciąż jeszcze „Stara baśń“ urok rzuca na czytelnika odwieczną plemienną walką słowiańskiego narodu Polan z Niemcami i pewno każde dziecko zna bajkę, co zaczyna się od słów:

„Był sobie dziad i baba  
Bardzo starzy oboje,  
Ona kaszłaca, słaba,  
On skurczony we dwoje...“

A ile z jego myśli, spostrzeżeń, spo-

obów patrzenia na świat i potem przedstawienia tego świata czytelnikowi, przeszło bezimiennie do jego następców, stając się myślami i spostrzeżeniami wszystkich, czyli wła-

snością ogółu?

Więc pisarza w Kraszewskim czcimy, a przede wszystkim człowieka niezmordowanej, mrówczej pracy.

# OSTATNIE SPOJRZENIE

Kwiecień 1940 roku usunął wreszcie śnieg ze Lwowa. Ostatki brudno-szare, gąbczaste z czarnymi smugami przewieszane przez kraty kanałów, wpadały w głąb, uchodząc przed zwycięskim słońcem. Nastał szereg dni tak niebieskich i pogodnych, że przypominały niedawny, rozpaczliwy wrzesień.

Tego dnia Rysia, najstarsza z całej trójki rodzeństwa wróciła wcześniej ze szkoły. Właściwie powiedzenie „wróciła wcześniej“, jest niebardzo właściwe, jeżeli ktoś idzie na 9-tą a przed 10-tą jest już w domu z powrotem. Więc, jakby w ogóle w szkole nie był.

Rysia miała do powiedzenia niesłychanie ważną nowinę. Powiedziała ją też swym wyraźnym, spokojnym głosem dobrej uczennicy. Stała na środku pokoju, nieco zaróżowiona na smągłej buzi, błyskając czarnymi oczyma — różniąc się zupełnie od swego białozłoto-niebieskiego rodzeństwa — i wyrecytowała: „Dzisiaj nie ma nauki, bo wszystkie mateczki i siostrzyczki wyjechały wielkim autem. Pani z trzeciej klasy powiedziała, żebyśmy zaraz wracały do domu“. Jedynie małe przyśpieszenie wypowiedzianych zdań — i to szczególnie na końcu i berecik zapomniany na czarnej główce, berecik z połyskującą emaliowaną szkolną odznaką, świadczyły o tym, że Rysia była przejęta mocno, tym, co mówi.

Nowina wywarła w domu wielkie wrażenie, — najmniejsze na 7-mio letniej siostrzyczce i 6-cio letnim braciszku Rysi. Ten, można powiedzieć, w ogóle nie przyjął jej do wia-

domości, natomiast zaczął uganiać za białoczarnym kotkiem, Wałkiem, płacząc się wszystkim pod nogami. W końcu strapiona matka wyprawiła całą trójkę na spacer pod opieką młodziutkiej sąsiadki. Poszli wszyscy przez słoneczną, cichą ulicę do góry (we Lwowie nie trudno iść do góry) — coraz wyżej, aż wreszcie wydostali się poza t. zw. Kwiatkówkę.

Na gliniastych zboczach było bardzo ciepło i spokojnie, drzewa i krzaki nie ośmieliły się wprawdzie jeszcze wypuścić pączków i stały ciemne i nagie, ale już drżał niedosłyszalny pęd soków wiosennych w ich roślinnych żyłach. Śnieg, jeśli nawet gdzie był, — to przycałił się w północnych kotlinkach, wśród zarosli Pohulanki, trzymał się zacienionych, wpadłych w ziemię strumieni, — tu zaś, na Kwiatkówce, panowało gorące słońce, grunt był obeschnięty, prawie sypki, a zeszłoroczna, zrudziała trawka starała się właśnie o nowe listki.

Nic nigdzie nie rośło, tylko całe zbocze aż po kraj kotlinki zasypane było kwiatkami podbiału. Gorąco-złote, bez żadnych listków, rozwarte, wszystkie wpatrywały się, jak małe słoneczka z wdzięcznością w wielkie słońce.

Wkrótce dzieci nazrywały ich tyle, że zasypały nimi sukienkę swej opiekunki. Pannienka, spojrzawszy na króciutkie ogonki kwiatuszków i nawet na ich główki same (które pochodziły od Janusia), postanowiła uwić z nich trzy wianeczki. Dokładnie i spo-

kojnie wzięła się do roboty, nie zezwalając już na dalsze znoszenie kwiatków.

Dzieci tymczasem wzięły się za ręce i popatrzyły na rozpostarty przed nimi Lwów. Z tej odległości, w wiosennym słońcu wyglądał, tak, jak zawsze, od lat. Rysia zaczęła objaśniać, zresztą wcale niezgodnie z rzeczywistością. Umiała tylko dobrze powiedzieć, która to wieża Sakramentek, bo znała ten najbliższy kościół. Katedrę i ratusz pomieszała na pewno — Dominikańską kopułę zbyła szybko, o wieży Wołoskiej w ogóle nic nie wiedziała, za to od razu powitały dzieci znajomy Wysoki Zamek z kopcem, który zamykał na niebieskim niebie dumny i harmonijny obraz miasta.

Tymczasem wianuszki były już gotowe. Z wielką powagą i ostrożnością niosły je dzieci na swych głowinach, wracając do domu. I w domu wywołały one zachwyt. Ale już po kilku minutach zdjęte wianuszki zapomniano — kwiatki zamknęły się i zwiędły.

Januś dopadł Wałka i dźwignął go z satysfakcją głową na dół, za tylne nóżki. Wałek, który przez całe swoje życie nigdy ostrzejszym miauknięciem nie protestował przeciw najbardziej wyszukany „pieszczotom“ dzieci,

znowu użył swej kociej drogi. Cichutko czekał aż małe łapki, ściskające go kurczowo, otworzą się przez zapomnienie — wtedy wymknął się łagodnie i zniknął na tak krótką chwilę, jakiej potrzeba, aby dziecko zapomniało.

Nad ranem, Wałek, jak zwykle, wrócił przez okno, z polowania. Kocie jego serduszko wiedziało już jednak wszystko — ściśnięte tajemniczym bólem od kilku godzin. Obszedł puste kąty mieszkania, rzeczy w nieładzie, wyskoczył na rozestane dziecinne łóżeczka, z których już ciepło dawno uleciało, oglądając swą pustą miseczkę. Wiedział, że już nigdy małe paluszki nie wgłębią się w jego sierść, że już nikt nie zawoła go serdecznie lub z radością, że nikt nie da mu mleka na miseczkę. Nie miauczał, po chwili odszedł stamtąd na zawsze, aby wieść zupełnie inne życie dzikiego, czy raczej zdziczałego kota.

A dzieci? Dzieci zabrały z rodzinnego miasta ten właśnie ostatni jego widok spokojny, pozdrawiający je łagodnie w niebieskim powietrzu wiosennego dnia. To tylko miało im pozostać na dalsze długie i ciężkie lata.

sz.

LEGEŻYNSKI STEFAN

## Kocham, więc nienawidzę

Zegnała synów swych matka siwa,  
prosta kobieta — Marja płacząca.  
Szare oczy zranionego ptaka,  
stare ręce bez siły-trzęsąca.

I grodzili piersiami granice —  
Jeden padł, rozwścieczony a dumny,  
na gruzach krzyżowanej stolicy,  
krzycząc „Polski nie zakuja w trumny“!

Drugi padł na węgierskiej granicy,  
darł się do polskiej Armii z rozpaczą,  
„Wolna, albo niech Jej moje oczy,  
nigdy więcej — w hańbie — nie zobaczą“!

Trzeci w obozie, nie chciał giąć czoła,  
czwarty z bombą — rozbili kolumnę,  
piąty z mrozu, w łachach, prawie goły.  
Tak ginęli chłopcy — duchy dumne.

Lecz tysiące, siedem gór, siedem rzek,  
wiele mórz, Europę wzdłuż, wpoprzek,  
przeszli. Dotarli do Polskiej Armii,  
w Szkocji, w Syrii — zbrojne hufce zwarli.

Kochać mocniej nie można — goręcej.  
Nienawidzić też nie można więcej,  
Za tych braci co padli po świecie,  
dzisiaj plugawą krwią swą odpowiecie!

No, a gdy poszli pod Narwikiem,  
każdy z chłopców niby szatan się wściekł.  
No a kiedy poszli pod Tobrukiem,  
„Matko — czy słyszysz — za braci ich siekł!“

Wielki dzień przyjdzie, błogoławiony,  
zawisniesz matko w syna ramionach,  
Perły radości — wróci wysniony.  
Wróci — wolność niosąc Ci na dłoniach!



ANATOL KRAKOWIECKI

# RYSZARD RYSZARD MAŁE LWIE SERCE

(Ciąg dalszy. — Odcinek czwarty).

Pomysł był znakomity, tylko jak go wykonać? Zadanie zdawało się być ponad siły Ryszarda. Przeżegnał się i gorącą, żarliwą prośbę wysłał do Boga o pomoc. Zacisnął bezradne ręce i drżał z emocji. Tak dalece był przejęty sytuacją, że w oczach jego stanęły łzy. I w ten sposób sformułował sobie swój pomysł:

— Chyba puszcze go na razie kantem, tego wściekłego bandytę szwaba. Muszę szukać ludzi, którzy by mi pomogli potem w jego odnalezieniu. Sam nie dam sobie rady.

## ROZDZIAŁ DRUGI

O jakieś trzysta metrów od Ryszarda, za ledwie o trzysta metrów, była jego obrona, jego odsiecz. Ale on o tym nie wiedział. Za ledwie o trzysta metrów od Ryśka znajdowało się kilkunastu ludzi, którzy w tej chwili rozmawiali spokojnie, nie wiedząc, również, iż tak blisko czai się niebezpieczeństwo.

— Za jakąś godzinę wystartuje pan z powrotem, panie poruczniku. Nie ma w tej chwili czasu na dłuższe debaty. Meldunek pański dostarczę według adresu, a tutaj proszę, oto koperta, którą pan odwiezie tam, dokąd pan poleci.

— Tak jest, panie majorze!

Rozmowa ta była prowadzona w tonie przyciszonym. A odbywała się w lokalu co najmniej niezwykłym. Mianowicie łąka stromą krawędzią opadała nad rzeczkę. Wzniesiony przy tej krawędzi i oparty o nią był szałas,

czy też coś w rodzaju ziemianki. I w tej ziemiance odbywała się rozmowa, której samo tylko zakończenie usłyszeliśmy.

— Wkrótce padł rozkaz:

— Natychmiast wyruszy patrol na przeszkanie okolicy. Mechanicy zbadają maszynę. Za godzinę ma być gotowa do startu.

Kilku ludzi wyszło z ziemianki i wspięło się po stromym brzegu rzeczki. Noc była coraz gęstsza, chociaż niebo było pogodne i gwiazdy świeciły cicho, spokojnie i uroczonie nad krajem tak bardzo nieszczęśliwym, poranionym i zbombardowanym. W mdłej poświacie gwiazd, widać było czerniejącą kępę na środku błonia. Był to samolot.

Z jednej strony ku tej czerniejącej kępie szło kilku ludzi, to znaczy patrol. Z drugiej strony posuwał się szybko mały i nikły cień. To nasz mały Ryszard. Zbliżali się nawzajem ku sobie, nie widząc się, albowiem kryły ich przed sobą kontury samolotu.

Rysiek starał się podtrzymać wające swoje siły. Policzki jego były gorejące, wargi spieczone i spękane, przed oczyma latały ciemne plamy. Nogi uginały się pod nim, ręce rozgarniały powietrze, jakby chciały szukać w nim oparcia. Ryszard, który od wczesnego ranka dzisiejszego nie miał w ustach ani kruszynki chleba, nie czuł w tej chwili głodu. Nie czuł już nic. Parł naprzód, jak automat. Sam do siebie mówił półgłosem jakieś dziwne rozkazy:

— Ryszard! Masz iść! Tu są gdzieś ludzie. Muszą tu być ludzie, jeśli wylądował tutaj samolot. A ci ludzie, to są nasi, to są Polacy. Sam nie dam rady temu działowi. Już go zresztą nie widzę, już nawet nie wiem, gdzie jest. Zniknął mi sprzed oczu. Wszystko mi niknie sprzed oczu. Boże, daj siły! Daj, Boże, pomoc w nieszczęściu! Niech ktoś tego psubrata odnajdzie. Spraw, Panie Boże, żeby ktoś się zjawił.

W tej chwili w ciszę nocną padł przyciszony okrzyk:

— Stój! Kto idzie? Ręce do góry!

— Polacy! — wyszeptał Rysiek.

Siły opuściły Ryszarda zupełnie. Chciał podnieść ręce do góry, ale zachwiał się i upadł. Zdawało mu się, że świat okręcił się dookoła niego i że runie mu na głowę. Jak przez sen słyszał czyjś głos:

— To dziecko, to chłopak! Ależ on umiera.

Tyle siły woli było w tym młodym chłopcu, tyle potęgi duchowej, że Ryszard zdołał jednak wyrzucić z siebie te słowa:

— Uważajcie! Niemiec tu jest niedaleko. Spadochrony! Ratujcie samolot! Ratujcie siebie! Zabijcie go!

Zasypano go pytaniami, ale nie słyszał tych pytań, omdlenie odjęło mu słuch, sparaliżowało świadomość i pogrążyło w nicości. Nie czuł, nie wiedział, że niesiony jest na rękach ku ziemiance. Nie czuł, nie wiedział, że wszystko, co żyło, stanęło na nogi. Jak długo to trwało? Któż da na to odpowiedź? Ale wreszcie przez mgły, otaczając jego świadomość, przez znużenie zwolna ustępujące usłyszał słowa:

— Brawo, mój mały! Jesteś dzielnym chłopakiem. Baliśmy się, że umarłeś, ale Bóg dał, żeś powrócił do życia...

Pochylał się nad nim człowiek w mundurze.

— Ja nie chciałbym, panie generale... — wyszeptał Rysiek.

Człowiek w mundurze zaśmiał się w rozczuleniu:

— Nie jestem generałem, to jest obojętne. Za to ty jesteś małym bohaterem. Jak ci na imię?

— Ry...szard — wybąknął.

— Ryszard, Ryszard! A więc zwać się powinniśmy: Ryszard małe Lwie Serce. Albowiem istotnie lwie serduszko w tobie mieszka.

Rysiek rozważał każde słowo, które usłyszał. Z trudem słowa te docierały do jego świadomości. Powtarzał sobie szeptem każde słowo, które usłyszał, i dopiero wtedy zrozumiał, co mówił do niego człowiek w mundurze.

— Ależ ja nic, ja nic... Ja przecież nic nie zrobiłem...

Znowu to jego powiedzenie spotkało się z rozrzuwionym uśmiechem. Patrzyły na niego siwe oczy, pełne współczucia i czułości. Człowiek w mundurze mówił dalej:

— Na razie nie mów nic, dopóki ci nie wrócą siły. Nic nie wolno ci gadać. A to wyjęliśmy ci z za pazuchy...

W ręku człowieka w mundurze ukazał się jakiś instrument, czy też jakaś broń. Oszołomiony Ryszard zapytał mimo woli:

— Co to jest?

— To właśnie jest to, co ty miałeś za pazuchą. Jak ci wrócą siły, opowiesz mi jak doszedłeś do tego, skąd się to wzięło w twoim posiadaniu i co z tym zamierzałeś zrobić.

— Ale co to jest?

— Więc nawet nie wiesz, co to jest? Skąd to wzięłeś?

— Zdobyłem, panie generale.

Szczery, głośny śmiech powitał jego słowa.

— Nie jestem generałem, powtarzam ci,

jestem majorem. A ty powiadasz, żeś to zdobył...

Ryszard chciał coś odpowiedzieć. Przerwano mu groźnym gestem.

— Cicho, nie wolno ci teraz na razie gadać. Przełknij znów odrobinę mleka. Co miałem kłopotu, zanim cię nakarmiłem! Wymiotowałeś i baliśmy się, że umrzesz. A jeśli chcesz wiedzieć, co zdobyłeś, to ci zaraz powiem. To, co miałeś za pazuchą, jest to tak zwany automat, straszliwa broń, która wydaje całą serię strzałów. Zdobyleś automat, a w jaki sposób go zdobyłeś, opowiesz nam wszystkim, jak tylko inni wrócą z polowania.

W tej chwili rozległy się jakieś dziwne odgłosy. Jakby seria odległych klasknięć. Sekunda ciszy i znów klaskania, jakby odgłosy bardzo odległego piorunu, odbijającego się o obłoki.

— Co to jest, panie majorze?

— To są strzały, które w ciszy nocnej w

ten sposób się rozlegają. Najwidoczniej rozgrywa się w tej chwili finał dramatu, którego ty jesteś jednym z największych autorów...

— Finał? Dramat? Nic nie rozumiem. Co to w ogóle znaczy?

— Zanim pojdziesz dokładnie, co to znaczy, mogę ci tylko, to powiedzieć, że w tej chwili Niemiec, spadochroniarz jest w potrzasku i że nie wyjdzie chyba żywy. Słyszysz?

Strzelanina stała się jeszcze żywszą. Potem jeszcze kilka strzałów i wszystko umilkło. Noc otuliła się w ciszę.

— Albo zabity, albo w niewoli.

Ryszard skinął głową. Poślanie zakołysało się pod nim, noc pochylała nad nim czarny baldachim niewiedzy, cisza opadła mu na powieki. Człowiek w mundurze pochylił się nad nim, dotknął czoła i rzekł:

— Znowu zemdłał!

(Ciąg dalszy nastąpi)

## Z PRASY PODZIEMNEJ W POLSCE

# NAJMŁODSI

Przy lampce karbidowej, lub świeczce  
z choinki,

Jakże słodko jest wkuwać wiedzę zakazaną.

Jak smakuje kartofel z przymarzniętej rynki,

Jak inaczej się wstaje w ciemne, zimne rano.

Dziwny posmak przygody ma lekcja  
w komplecie.

Szyfowych prac Radka wyblakłe  
przykłady,

Synem puszczy i Mayem już nas nie  
weźmiecie,

Bo my sami przygodą, tamto — wzorek  
błady.

W rękawach naszych ubrań łątami  
upstrzonych

Dynamit gazetkowy przenosimy skrycie.

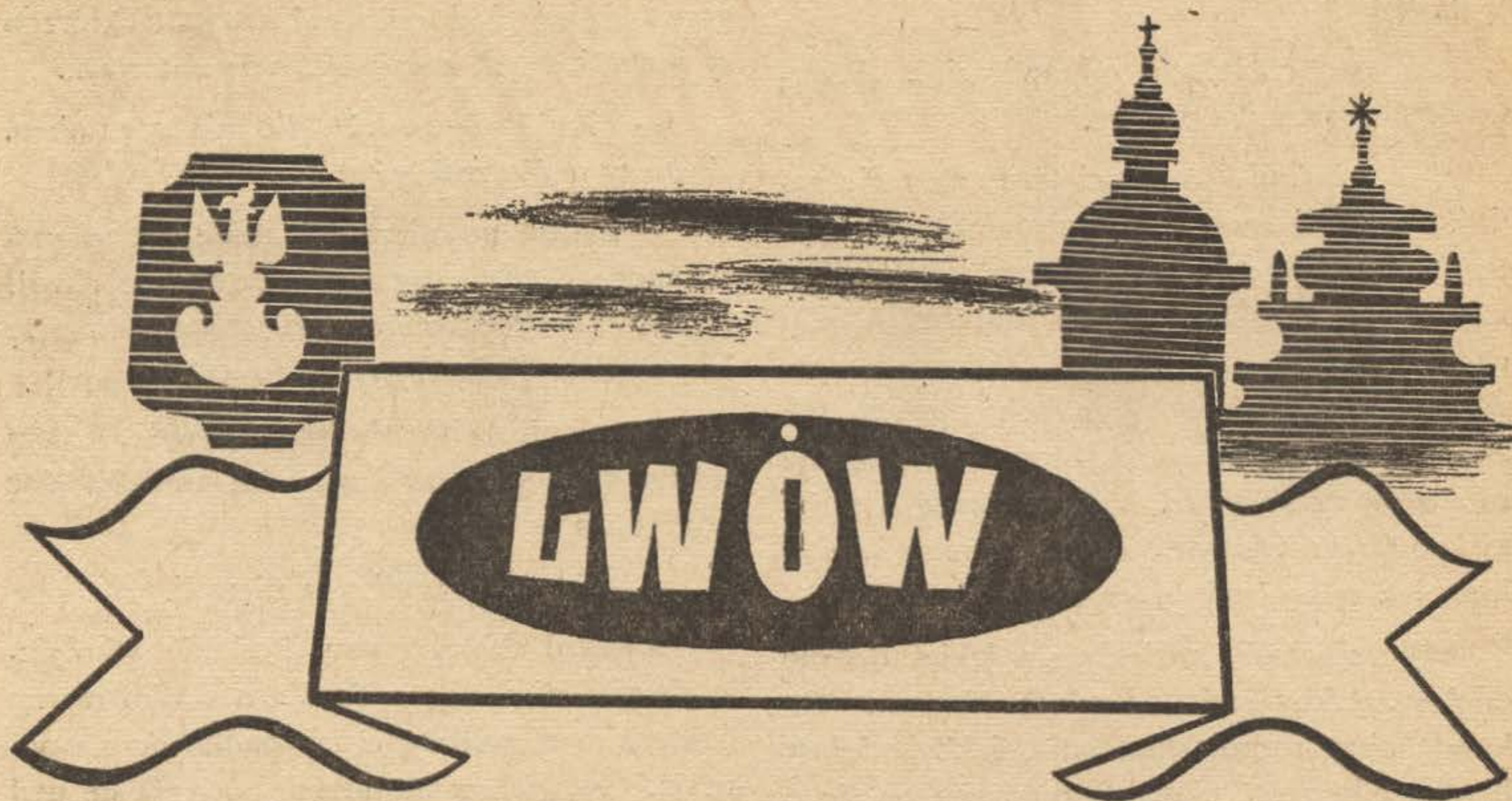
I, w marzeniach conocnych, jeszcze  
niewyśnionych,

Za wielkością tęsknimy, jak ongiś rodzice.

I zanim świt nie spłoszy koszmaru niewoli  
My kruczata najmłodszych, chociaż bez  
oreża,

Na ulicach rzucamy w twarz czelnie  
wrogowi

Wyroczone z kredy słowa, że Polska  
zwycięża.

MŁODE PIÓRA

Wiesz, ja pamiętam zaułki Lwowa  
 Takie smutne, po wojnie już,  
 Kiedy życie zaczęło od nowa,  
 Z jakimś dziwnym przecuciem burz.

Ja pamiętam ulice stęsknione  
 Do tych dawnych blasków i lśnień,  
 Takie biedne, smutne, zmęczone  
 Nawet wtedy, gdy jasny był dzień.

Gdyśmy z bronią i jękiem ranionych  
 Przekradali się w miasta mrok  
 Wśród kamienie kirem omglonych,  
 Kiedy wróg czyhał o krok.

Ja pamiętam Wały Hetmańskie  
 Głuche strzały i prochu kurz,  
 Krzyk dziecka i miny ich pańskie  
 Kiedy matka nie żyła już.

Nie zapomnę tego obrazu,  
 Kiedy chłopczyk małeńki stał,  
 Szeptał parę beładnych wyrazów  
 Póki nie padł następny strzał.

Ja pamiętam ulice Lwowa  
 Takie smutne po wojnie dni  
 I nie mogę wymówić słowa  
 Bez wzruszenia, bez jednej ży.

Dzisiaj tęsknię do ciebie z daleka,  
 W blasku latarni widzę twój czar  
 Coś mi w duszy do ciebie ucieka;  
 Lwów ma w sobie przedziwny dar.

Bo ja kocham Warszawę i Wilno,  
 Nawet szkoda gadania i słów,  
 Całą Polskę przemocną i silną,  
 — Ale serce zabrał mi LWÓW.

Krystyna K. — 14 lat.



archiwum

# CUD KAZIKA



Kazik z nienawiścią patrzył się na żołnierzy niemieckich, kręcących się po izbie. Zaciskał małe piąstki, lecz dobrze rozumiał, że jest za mały, aby coś mógł zrobić tym strasznym i dużym zwierzętom, bo na myśl mu nawet nie przyszło, że to mogli być ludzie. Ten ostatni dzień był w ogóle czemś nie zrozumiałem dla małego chłopca. W serduszkach Kazik miał ból, tak wielki ból, że czasami całe ciało drętwiało i nie odczuwało szturchańców, których mu nie szczędzili nowi gospodarze.

Od jakiegoś czasu wszystko w ich wiosce szło na opak. Tatusz niespodzanie odszedł z domu. Podobnie razem z innymi chłopami ukrywał się gdzieś w lesie, ale o tym, jak mu nakazała matka, nie wolno było nikomu słówkiem pisnąć. Co jakiś czas jednak ojciec przychodził w nocy do domu, coś prędko opowiadał matce, a oczy mu się przy tem świeciły jak dwa węgle. Kazik nie mógł słyszeć co ojciec szeptał, ale jednak dochodziły do jego uszu niektóre słowa: „Daliśmy im w skórę“... „naszego chleba nie zobaczą“... „przewróciliśmy pociąg... Zabiłem dwóch“... I Kazik niewiadomo skąd, ale rozumiał i wiedział, że jego tatusz bije Niemców i był z tego bardzo, bardzo dumny.

Potem tatusz jakoś długo nie przychodził, mamusia nie spała po całych nocach, czekała na tatusia. Nagle wczoraj wieczorem przyszedł ich sąsiad, co to razem był z ojcem gdzieś „tam“. Dał matce małe zawiniątko i prędko odszedł. Kazika napadł strach, gdy spojrzał na poblądną twarz matki, która z wahaniem rozwijała paczuszkę. Nagle coś błysnęło i na dłoni matki. Kazik zobaczył obrazek święty, który ojciec zawsze nosił na szyi. Chciał się o coś zapytać, ale nie zdążył, bo matka

złapała jego głowę, przytuliła do piersi, z której się wyrwał stłumiony szloch, i zaczęła się modlić i płakać. Kazik rozumiał, jak ostatnio dużo rzeczy rozumiał, których mu nikt nie tłumaczył, że już nigdy nie zobaczy tatusia. Wtulił więc swą biedną łepetynkę w ramiona matki i popłakując zcicha, zasnął.

Obudził Kazika jakiś grzmot, wybiegł z matką na podwórko i zobaczył, że cała wieś się pali. Naraz rozległy się strzały, krzyki... Jacyś ludzie wbiegli do ich zagrody i więcej Kazik już nic nie pamięta, tylko że poczuł straszny ból i gdzieś poleciał.

Gdy się ocknął usłyszał jakieś skomlenie i poczuł coś wilgotnego na twarzy. To Burek wierny piesek Kazika, na swój sposób starał się doprowadzić do przytomności swego przyjaciela. Burek lizał mu twarz, koszulę i wołał, ale po cichu, jak gdyby i pies rozumiał, że nieprzyjaciel jest blisko. Kazik się dźwignął, usiadł i poczuł, że go bardzo coś boli w boku, widocznie dostał kopniaka, ale od kogo? Zaczął się rozglądać... Cóż to? Czy to sen? Gdzież on się znajduje? Przecież to nie jest jego wieś, właściwie to nie jest żadna wieś, bo jak okiem mógł sięgnąć, ocalało tylko kilka chat, reszta gdzieś zginęła albo jeszcze się paliła.

Gdy tak stał w odrętwieniu, poczuł raptem że nie jest sam. Odwrócił się i u progu swej chaty, która widocznie dlatego ocalała, że stała na ubozu, zobaczył obcego mężczyznę w mundurze. Zrozumiał, że to wróg, że to Niemiec. Niemiec coś krzyczał, pokazywał na wiadro, na studnię i od tego czasu zaczęła się żmudna praca dla Kazika. Musiał naznosić wody, drzewa, rozpalić ogień za co w podziękowaniu otrzymywał szturchańce. Pokryjomu rozlądał się za matką, ale

w domu jej nie było. Pocieszał się myślą, że matka na pewno uciekła i ukryła się w lesie. Myślał o tem, żeby jakoś się wymknąć i pójść jej szukać.

Kazano mu oskubać biedną „Czarnulkę“ jego najukochańszą kure, która zносиła takie duże, żółtawe jajka, wesoło biegała po podwórku, a teraz ze zwieszoną główką leżała na ławce. Znowu zabrakło wody. Kazik wziął wiadro i poszedł do studni. Jeden z Niemców wyszedł na podwórko i popchnął Kazika. Burek groźnie zawarczał. Szwab rzucił kamieniem w psa, który głośno zaszczekał i przyszykował się do skoku na wroga. Kazikowi pociemniało w oczach, gdy zobaczył rękę z rewolwerem wyciągniętą w stronę Burka. Nie zastanawiając się podskoczył do Niemca, złapał go za nogę, pociągnął z ca-

łej siły i w jednej chwili szwab leżał jak długi na ziemi.

Wtem stał się cud, bo Kazik święcie wierzył, że to był cud: rewolwer odwrócił się w stronę Niemca, i wystrzelił, zabijając Szwaba na miejscu. Na odgłos wystrzału wyskoczyli Niemcy z chaty, podbiegli do leżącego na ziemi, popatrzyli na jego rewolwer i pokiwali głowami z pogardą, bo byli pewni, że Szwab popełnił samobójstwo.

Ale Kazik nic nie widział, pochylony nad studnię z całego serca dziękował Panu Bogu, że mu uratował wiernego Burka i że zabił Niemca. Burek natomiast zachowywał się jakoś dziwnie, nie wył zwyczajem wszystkich psów w obecności nieboszczyka, tylko, zdawało się, z uśmiechem zpooglądał w stronę zabitego Niemca i z zadowolenia machał ogonem.

H. Nark.

## „Poland“ na pustym rękawie

Czy słyszeliście o Bronku Godlewskim? Sławny on już jest dzisiaj w całej Anglii i Ameryce, to pewno i do Was doszły o nim słuchy. Bo Bronek Godlewski — to lotnik polski, który spośród wszystkich lotników państw sprzymierzonych otrzymał najwięcej odznaczeń bojowych.

Gdziekolwiek Bronek wchodzi, wszędzie zwraca uwagę, bo każdy myśli: ile męstwa, odwagi i opanowania musiał wykazać ten młody lotnik, żeby tyle wysokich odznaczeń otrzymać! I każdemu serce się ścisza wzruszeniem i żalem, gdy widzi tę wysoką, szczupłą sylwetkę, tę ładną, jeszcze dziecienną twarz o czarnych oczach — i gdy widzi, że... Bronek nie ma rąk. Obie ręce ustrzelili mu Niemcy gdy zrzucił bomby na Essen.

Widziałem Bronka niedawno w Londynie, przed wyjazdem jego do Ameryki. Odjeżdżał do Chicago, do rodziców swoich, którzy dwadzieścia kilka lat temu wyemigrowali z Polski i w Chicago się osiedlili. Bronek ma lat dziewiętnaście. W Polsce nigdy nie był, ale po polsku mówi zupełnie dobrze, gdyż w jego

domu przestrzega się pilnie, ażeby mowę ojczystą zachować. Jest obywatelem amerykańskim.

Czy nie dziwi Was, dlaczego Bronek wstąpił do wojska polskiego, zamiast do amerykańskiego, skoro na ziemi amerykańskiej się urodził i na niej spędził całe swoje życie? Chyba właśnie dlatego, że Bronek w swej krwi ma Polskę, że serce jego, tak jak każdego z nas, bije mocno i gorąco dla swej pierwszej ojczyzny, dla ojczyzny swych rodziców. Dla Polski poniósł tak wielką ofiarę. Do Polski chce po wojnie wyjechać, w Polsce pracować.

I jeszcze jedno: Bronek nie tylko w walce powietrznej, w samolocie nad terytorium wroga jest odważny. Bronek ma odwagę i w życiu codziennym, na ziemi. Nie martwi się nieszczęściem, które go w tak młodym wieku spotkało. Ze sztuczną ręką można przecież żyć jak z prawdziwą i można jeszcze być bardzo szczęśliwym. (Zwłaszcza, gdy się ma narzeczoną, też Polką z Chicago, która do Bronka piękne i długie listy pisała, i która razem z Bronkiem do Polski po wojnie przyjedzie!).

# FATMA I LUSTRO

I



Z lustrem bywa zamieszanie, gdy je przybić chcesz na ścianie.

III



Cała ściana niby w piegi, jak tu zakryć dziur szeregi?

II



Fatma uwija się dzielnie: młotkiem w gwoździe wali celnie, lecz gwoździe mają swą drogę: jak groch lecą na podłogę.

IV



A oto jest koniec sprawy i zwycięstwo Fatmy żwawej: — schyli się tylko pół włoska i już widzi koniec noska.

## Z kroniki batalionu

Rekruci, którzy przyjechali z Rosji do Wielkiej Brytanii dostawali przydział do kompanii. — Sypały się nazwiska z odczytywanej listy. — Wywoływani donośnym głosem odpowiadali: „Jestem“, po czym występowali z szeregu. — Młode i zdrowe postaci chłopców ze Lwowa, Wilna, Pińska i Śniatyna. — Z miast, miasteczek i wsi. — Z całej Polski. — Przez Rosję — Persję — Afrykę. Przez niewolę i głód. — Przetrwali i są już z nami. —

— „Stanisław Rawa“ — donośnym głosem wołał szef. —

Gdzieś z końca drugiego szeregu podejrzenie dziecinny głos odpowiadał: „jestem“ i ukazał się Stach. Wyglądał na 12 lat. — Koledzy mówili, że może mieć nawet 13. — Ale on twierdził, że ma 17 lat skończonych. — Kłamał, kłamał uparcie i nie przejmował się wcale, gdy nikt mu nie chciał wierzyć. — I tak nie miał dokumentów, więc urzędowo musiano przyjąć, że ma lat siedemnaście. — Widzicie, Stach bał się, że gdyby powiedział ile lat ma na prawdę, to by go nie przyjęli do wojska. Bo na prawdę, to był o wiele za młody.

Przy przydziale Stacha, dowódcy kompanii musieli losowaniem rozstrzygnąć jego przydział, bo każdy chciał go mieć w swej kompanii. —

Tak się z nim zaczęło. —

Płaczem wymusił, że przydzielono mu karabin, a gdy otrzymał i prawdziwy mundur wojskowy, uszyty na miarę, byłby już zapewne zupełnie szczęśliwy, gdyby nie dzieciaki szkockie, które gromadnie łążyły w jego tropy podejrzliwie przypatrując się temu polskiemu żołnierzowi. —

Pewnego dnia przyjechał do nas na przegląd rekrutów gen. Core, były dowódca Gibraltaru, wraz z całym sztabem wyższych oficerów brytyjskich. I naturalnie musieli zauważyć Stacha. — Wywołany z szeregu wystąpił sprężyście i energicznie zameldował: „strzelec Rawa, na rozkaz, panie generale“ — „Ile masz lat?“ — padło pytanie. Wszystkie oczy zwró-

ciły się na Stacha. — Co odpowie generałowi ten mały rekrut.

— „Siedemnaście, panie generale“.

Odpowiedź wywołała ogólną wesołość, tylko Stach był poważny, a w oczach jego zaświeciły przez moment szelmowskie ogniki. — Proszono i straszono. — Goście chcieli koniecznie wiedzieć prawdę. Nic nie pomogło. — Stach ciągle odpowiadał: „siedemnaście“.

Już nie ma Stacha w naszym oddziale. — Zostały po nim tylko dwie pamiątki. — Gazetka ścienna Batalionu zamieściła jego karykaturę z podpisem: „Najmniejszy żołnierz — Największy kłamca“. —

A w rejestrach oddziału zapisano: Strzelec Stanisław Rawa, lat siedemnaście, odszedł jako ochotnik — do Lotnictwa — personel ziemny. —

### ZAGADKI

#### Lamigłówka wstążkowa

- |           |   |
|-----------|---|
| X . . . . | pasterz, wypasający bydło na halach.    |
| . X . . . | inaczej znaczek pocztowy.               |
| . . X . . | imię męskie zdrobniałe.                 |
| . . . X . | inaczej kształt.                        |
| . . . . X | rzuca się z samolotu na nieprzyjaciela. |
| . . . . X | uroczysta mowa w czasie uczty.          |
| . . . X . | służy do zatykania flaszek.             |
| . . X . . | przyrząd do palenia tytoniu.            |
| . X . . . | inaczej wrząca woda.                    |
| X . . . . | inaczej kajdany.                        |

Litery oznaczone krzyżykami, dadzą imię i nazwisko sławnego polskiego malarza.

#### Zagadka geograficzna.

Zba — sła — San — me — Wie — A — ry — Al — dan — mierz — A — ka — ry — licz — do — Wi — Ro — py — raz — ka — zo.

1) nazwa rzeki w Polsce. 2) Najwyższe góry w Europie. 3) Rzeka we Francji południowej. 4) Miasto opodal ujścia Sanu. 5) Ongiś twierdza we Wschodniej Małopolsce. 6) Nazwa kontynentu. 7) Nazwa miejscowości w której są kopalnie soli. 8) Wyspy na północny zachód od Afryki.

Początkowe litery wyrazów czytane z góry na dół dadzą nazwę stolicy Polski.